ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Grudnia №er 52. Roku 1843.

OSTATNIE DNI RAFAELA.

Właśnie przy oknie swojéj komnaty stał wtedy Rafał, gdy ujrzał zajeżdżający przed bramę, herbem duchownym ozdobiony powóz o sześciu karych rumakach. Po krótkiéj chwili wszedł kardynał Juliusz Medicis. Byłto słusznego wzrostu, pod ciężarem lat nie uginający się starzec, z ostro-wybitnémi rysy na pooranéj zmarszczkami twarzy, w ornacie kardynalskim, z kilku orderami na piersi. Włos jego srebrzysty ocieniał czoło pełne wyrazu, powagi i szlachetności.

»Bądźcie mi serdecznie pozdrowieni, mój zacny, sławą upromieniony przyjacielu Rafale,« rzekł prałat wszedłszy do pracowni. »Niech mi będzie wolno, odwidziwszy was znowu, zapytać się o wasze zdrowie, i obejrzéć się nieco w waszéj pracowni.«

»Wielki to dla mnie zaszczyt, wasza Eminencyjo,« odpowiedział z uszanowaniem Rafał, »co do mnie, czuję się w téj chwili w dość dobrém zdrowiu, ale moja pracownia nie zaświadczy wiele o mojéj pilności; od téj chwili, kiedym po raz ostatni miał zaszczyt, widziéć waszę Eminencyję u siebie, spoczywała prawie moja paleta, mój pęzel próżnował.«

»Jenijusz nie próżnuje nigdy!« rzekł kardynał. »Czyja źrenica nie wnika w tajemne sprężyny twórczego ducha, może to nazwać próżnowaniem, co jest tylko chwilowym, marzeniami artystowskiémi przerywanym snem wypoczynku. Azaliż w zimie przykryta żgłem śniegowém, nie tka siła twórcza szaty majowéj?«

Śród téj rozmowy otworzył Rafał drzwi pobliskiéj sali, w któréj zwykł pracować. Pomiędzy zamówionémi obrazami było dwa tylko, których kardynał jeszcze nie oglądał: byłto portret Fornariny w całéj wielkości, i głowa, utwór fantazyi. »Otoż i wszystko, czém się mój pęzel w téj chwili pochlubić może,« rzekł Rafał wskazując na te dwa obrazy.

»I toż nazywasz próżnowaniem?« zawołał z uniesieniem Juliusz Medicis, gdy spoczął wzrokiem na przecudnym obrazie Fornaryny. »Zdaje mi się,« przemówił po chwili ochłonienia z piérwszego podziwu, »że raz już widziałem tę postać kobiécą. Tak, tak, byłoto w Rzymie. Jakiż-to urok przemawia z tego obrazu! Te krucze, w długich strumieniach roskosznie spływające włosy, te ciemne duże oczy, w których się zaiste nie pali płomień Westy, te purpurą zarania spromienione usta, które zdają się oddychać płomieniem i roskoszną wonią Arabii, te pieściwie utoczone, jędrne ramiona, i te rzucone misternie przeguby szaty; wszystko to znamieniuje namiętną Rzymiankę, kobiétę ziemską. Ta zaś głowa,« tu wskazał na drugi obraz, »jest nadziemska, niebiańska! Fantazyja twoja zwidziła niebo i wykradła twarz Serafina śpiewającego ku chwale Pana Zastępów.«

Po tych słowach, gdy obadwaj usiedli, mówił kardynał daléj témi słowy: »Przyczyna główna, która mnie tu sprowadza, jest ta, że jako arcybiskup Narbony pragnąłbym coś dla mego kościoła katedralnego uczynić. Dla tego do was zwracam się z moją prośbą; radbym miéć obraz, któryby w późne czasy budował serca prawowiernych i był zarazem pomnikiem umnictwa chrześcijańskiego; weźcież więc pęzel do ręki i dajcie życie dziełu nieśmiertelności. Wiém, że nie masz ceny godnéj sprostać utworowi waszéj ręki, ale bądźcie zapewnieni, że co tylko dostatek książęcy na ołtarzu sztuki złożyć może, to wszystko przyniosę jak najchętniéj.«

»Tylekrotne miałem już dowody hojności Waszéj Eminencyi,« odrzekł Rafał. »Mamże iść za własném natchnieniem w wyborze przedmiotu, lub mi Wasza Eminencyja sam wskazać go raczysz?«

»Jeźli mi pozwolicie, mój przyjacielu, zwrócę waszę uwagę na przedmiot najwznioślejszy, godny wielkiego mistrza, przedmiot, którego ani jenijalno-dziki, nadmiarem siły w pęzlu zadumiewający Michel Angelo, ani dziewiczy, słodki, zadumczywy Antonio da Correggio, ani téż bogactwem kolorytu rozrzutny Titian, z prawdziwém mistrzostwem oddać nie podoła; przed-

miot ten wyzywa pezel Rafała: jestto *Uniebienie Chrystusa.*« *)

Rafał milczał tą olbrzymią uderzony myślą; przed jego artystowskiém, natchnionėm okiem rysował się już w dalekim widoku skład obrazu. Po chwili rzekł z widoczną radością: »Olbrzymiość pomysłu, cała moję napełnia duszę; mniéj ważną pracę odłożę na później, a przedewszystkiém wezmę się do wykonania tego wielkiego dzieła. Mam nadzieję, że Świątynia Pańska w Narbone, piękny otrzyma obraz.«

Potém toczyła się jeszcze daléj rozmowa, umawiano się o czas, kiedy obraz może być ukończonym, jak wiele będzie zajmował miejsca; mówiono także o wielkim ołtarzu w katedrze Narbońskiéj. Gdy już kardynał miał odejść, złożył ojcowskie pocałowanie na czole artysty, żegnając go témi słowy: »Bogu was polécam, miejcież mi staranie o zdrowiu waszém. Wielcy artyści żywią w piersiach swoich płomień, który zbyt prędko zdrój ich życia wyniszcza! Dla tego raz jeszcze upominam was: chciejcie mieć staranie o waszém drogiém życiu, dla sławy waszéj sztuki i dla waszych przyjaciół.« —

W duszy Rafała występowała z każdym dniem w jaśniejszych zarysach owa sławna kompozycyja, która świat zadziwić miała. Chociaż cały obraz ze wszystkiémi figurami stał już widomie przed źrenicą jego ducha, przecież nie brał palety i pęzla do ręki, lecz oczekiwał chwili natchnienia, w któréjby te postacie, ogrzane boskiéj wyobraźni płomieniem, w pełni życia na płótno przenieść zdołał. —

Tylko matka chodzi tak troskliwie i niezmordowanie około swego dziecięcia, jak wielki malarz około swego dzieła, które ma włożyć na skronie jego koronę nieśmiertelności! Nieraz pośród ciszy północnéj pracował duch Rafała, zwidzał niebo i ziemię, aby odkraść kształty do swego obrazu. Gdy zasypiał, zdawało mu się często, że trzyma w ręku paletę i pęzel.

Wziąwszy się nareszcie do dzieła, przeniósł czarodziejskim pęzlem wszystkie postacie w zakres tego obrazu wchodzące; sama tylko postać Zbawiciela świata nie była jeszcze całkiem wykończona. Zakląć w farby chwilę uniebienia Chrystusa, było arcy-trudném zadaniem. W olbrzymim kościele ś. Piotra śród odgłosu uroczystéj muzyki kościelnéj wpłynęło natchnienie w duszę Rafała, tam ujrzał źrenicą ducha, tę boskością promieniejącą twarz Chrystusa, któréj widok unosi człowieka po-nad groby świata, po-nad gwiazd miryjady, które śród sfer muzyki, krążą odwiecznémi mety!

*) Uniebienie — transfiguracyja — apoteoza, przemienienie.

Gdy Rafał zbierając rysy do boskiéj twarzy Chrystusa, zamykał się w pracowni swego ducha; unikał towarzystwa, przechadzał się wieczorem samotnémi ścieżki, lub siadywał całémi godzinami samotny przy trójnożu malarskiém. Ta zmiana Rafała nie mogła ujść płomienistych oczu Fornariny. Jednego razu weszła do komnaty Rafała; lekka gazowa chmurka posępności drżała na jéj twarzy, różowe jéj usta ściągały się do lekkiéj przygany artystykochanka. Stała milcząca, i zdawała się oczekiwać pocałunku, lecz gdy malarz zajęty swoim obrazem nie zważał na jéj przybycie, zagadnęła go sama, zgromadziwszy w około swoich oczu wszystkie pasma chmurek po jéj twarzy. »Rafale, zmieniłeś się dla twojéj Fornariny, płomień twojéj miłości już przygasa.«

»Jakto rozumiesz Fornarino, czegoż żądasz odemnie,« odparł roztargniony malarz, »mamże jak Wezuwijusz goreć ogniem nieustannym?«

»Któżby śmiał żądać od ciebie tak wielkiéj ofiary?« rzekła z szyderskim uśmiechem, a głos jéj dziwnym zabrzmiał wyrazem.

»Powiedźże, czego chcesz?« przerwał zniecierpliwiony artysta.

»Tylko przy hrabinie Medorini można płonąć ogniem Wezuwijusza!... Sądziszże obłudniku, iż cię nie widziałam przed dni kilka obok niéj na terasie pałacowym śród drzew széroko-listnych? Widziałam, jakiś rozнamiętnioném okiem postać jéj pożérał, widziałam, jakiś płomienistémi usty wyciskał ślady twego uczucia na jéj pieszczotnéj ręce. Medorini jest piękniejszą od Fornaryny, nieprawdaż? W niéj może znalazłeś ów ideał kobiécéj doskonałości, do którego dusza twoja utęsknia.... Medorini jest hrabiną, czémże jest Fornarina? córką piekarza! O, nieba! Rafała, sławnego malarza kochanka — jest córką piekarza! Jakżeto brzmi prozaicznie!«

Przemówki te nie wzruszyły Rafała, a chcąc cokolwiek zadrasnąć próżność kobiécą, rzekł: »Dziwną mi się dziś wydajesz Fornarino! Ja cię nie pojmuję! Czyliż dla miłości jednéj kobiéty ma już mężczyzna w dół spuszczać oczy, kiedy spotka drugą piękną kobiétę? Maszże on być nieczułym na wszelkie powaby? Nie możeż on przyznać, że twarz téj lub owéj kobiéty jest piękną, zachwycającą? Kto inaczéj myśli, ten zabija wszelki zaród piękności w swojéj duszy, ten zaciąga bielmo na źrenicę artystowską; takie żądanie jest dziwactwem.«

»Twémi wymownémi słowy zapewne mnie pokonasz. O, złudna wielkości artystów! Przy trójnogu malarskim z pęzlem i paletą w ręku jesteście wielcy, ogniści, czuli, niezrównani, ale w życiu rzeczywistém nic jesteście ani o włos

lepszym od innych mężczyzn. Godna pożałowania każda Rzymianka, która artyście, czyli raczéj zapaleńcowi, miłość i życie poświęca!«

Obojętnie odparł Rafał: »Nazywaj to, jeżli ci się podoba, urojeniem zapaleńca, co jest płomieniem z nieba, co z powszednich wychodząc karbów, nad całą ludzkością króluje, co w piersiach każdego, boskie zapala uczucie i tysiące do nieśmiertelnych czynów unosi! Sam muszę teraz, jak widzę, być dumnym z mego imienia, kiedy ty — nią nie jesteś! Powiadam ci: zapaleniec, fantasta Rafał, będzie w czasie nieśmiertelny!.. O, nie mówże nikomu, żeś była kochanką Rafała!«

Przez chwilę milczała Fornarina, wlepiwszy w ziemię, smutkiem przysłonięte oczy; nakoniec rzekła: »Nie mogę czcić człowieka, który dziś téj, jutro innéj kobiécie hołdy składa. To nie jest stałością. Mnie się podoba charakter mocny, niechwiejny; obrany z tych przymiotów, nic wiele u mnie znaczy choćby największy artysta.«

»Wy kobiéty macie dziwne wyobrażenie o mezkiéj stałości, rzekł Rafał: »*Inna* jest droga zapewnienia się o naszéj niezachwianéj wierności. Kobiéta pragnąca zbudować świątynię miłości na niepożytéj, żadną zmiennością niezachwianéj posadzie, powinna powziąć to postanowienie: »Okażę mu się tak kochania godną, iż o żadnéj innéj pomyślić nie zdoła; wyczerpię wszelkie dowody miłości do tak wysokiéj miary, że wszystkie kobiéty przy ich blasku zgasną. Jeżli kochanka łagodna uwięzi serce jego, ja przez moję dziesięćkroć większą łagodność, powrócę go znowu mojéj miłości; jeżli go kobiéta namiętna, ognista, przyciąga do siebie; tą samą bronią uderzę na serce mego kochanka; jeżli go zajmie kobiéta, która dla dobra przyjaciela życie poświęció pragnie, wtedy położę wszelkie w to usiłowania, aby dowieść, że żadnéj nie ma ofiary, którébym dla niego i ja nie poniosła.«

»Pięknie się słowić umiész,« odrzekła z niechęcią Fornarina, »ale pocóż słów tyle, powiédz raczéj wyraźnie: że cię przesyt owładnął, że miłość twoja ku mnie już gaśnie! Ja ci natrętną nie będę. Widzę, że i w téj chwili jestem ci na przeszkodzie. Bywaj zdrów.« To rzekłszy chciała się oddalić. Ciemne oczy Rzymianki zaiłały ogniem, twarz jéj pałała szkarłatem gniewu, usta jéj ściągały się do płaczu, który starała się ukryć.

Gdy wychodząc, drzwi za sobą zamykała, woła na nią Rafał głosem dawnéj czułości: »Fornarino, moja Fornarino!« Zapłakana dziewica, na te pieszczotne słowa bieży w ramiona kochanka i tuli się do jego piersi. »Moja zacna, namiętna Rzymianko! takżeto mało znasz twego Rafała, że pozoru od prawdy, rozróżnić nie umiész? Teraz odkryję ci tajemnicę. Ty się ani domyślasz, że ta czarująca hrabina, przez które tak dla ciebie na kilka dni zobojętniałem, jest tu u mnie ukryta?« To mówiąc otworzył pracownię swoje; tym razem na ścianach nie było widać żadnego obrazu, na środku tylko sali rozwieszała się opona z jasno-błękitnego aksamitu. Rafał odchyla firankę: nadziemskiém uczuciem zadrżała Fornarina, czyni krok wstecz z uszanowania i mimowolnie ugina kolano; uderza ją światło boskiéj piękności! Widzi przed sobą duży obraz w najspanialszéj okazałości, o którym jéj Rafał ani namienił; patrzy i nie wierzy oczom swoim. Widzi dwie grupy, a nad niémi Chrystusa w uniebieniu między Mojżeszem i Eliaszem; u nóg zbawiciela widzi apostołów: Jana Piotra i Jakóba, nieco niżéj w głębi resztę apostołów, i kaléki, oczekujące wyzdrowienia. Fornarina nie mogła odjąć oczu z boskiéj, uniebionéj twarzy Chrystusa, która niepojętym urokiem całą jéj duszę owładnęła. »Oto widzisz« rzekł z wesołym uśmiéchem Rafał, » twoję rywalkę, czarującą hrabinę, która mnie tak długo od twego boku oddalała. Bądź że teraz spokojną. Co się tyczy hrabiny, dla twego serca nie masz niebezpieczeństwa.« Fornarina nic dała mu dłużéj mówić, zamykając mu usta pocałunkami i śród najtkliwszych oznaków prosiła go o przebaczenie mówiąc: »Takich wdzięków kochance, chętnie odstępuję Rafała!«

Malarz zaczął się oglądać w około, jak gdyby na kogoś czekał. Po chwili rzekł do Fornaryny: »Daruj mój anicle, że mnie teraz opuścić musisz. Zbliża się właśnie godzina, w któréj papież życzy sobie ten obraz oglądać.«

»Czy każesz go zanieść do Watykanu?«

»Nie Fornarino, Ojciec ś. oświadczył, że mnie odwidzi w mojéj pracowni. Sama poznajesz, w jakiém wielkiém jestem poważaniu.«

»Posłuchaj, co mi na myśl przyszło: Nie uwierzysz, jaką rozkosz czuję, gdy słyszę, że obce usta głoszą twoję sławę. Zdaje mi się zawsze, że i ja mam jakiś w niéj udział, że i moja ręka pracowała razem z twoją, że i ja razem z tobą przejdę do potomności. Chciałabym być świadkiem rozmowy twojéj z Ojcem ś.; czy nie ma tu jakiéj kryjówki, skądbym niewidziana mogła wszystko słyszéć?«

W odpowiedź otworzył Rafał drzwi śklanne, zielonémi firankami zasłonięte. »Wejdź do téj komnaty,« rzekł wskazując na otwarte podwoje, »ztąd możesz nie tylko słyszéć, co się w mojéj pracowni mówi, ale także wszystko widziéć, nie będąc od nikogo widziana.«

Zaledwie Fornarina weszła do wskazanéj kryjówki, dały się słyszéć głosy w przedpokoju. Rafał pospieszył naprzeciw. Po chwili wszedł Papiéż Leo X. w towarzystwie dwóch osób. Młoda twarz jego miała niezmiernie surowy, nieustannie uszanowanie nakazujący wyraz, a na jego czole mieszkała dostojna powaga. Jeden z jego towarzyszy po lewéj stronie, ozdobiony orderami, był małego wzrostu; wysokie nadzwyczajnie czoło jego w szérokie poorane bruzdy, miało ponure wejrzenie, po-nad dwojgiem ócz jakby dwoma sztyletami szyjących, zawieszała się ni czarna piorunna chmura, para brwi krzaczystych; w około ust ukrywały się rysy wyrażające śmiałość i pogardę, a z całéj twarzy przemawiał duch przedsiębierczy wysokiego lotu. Byłto Bramante, budowniczy kościoła ś. Piotra. Po prawéj stronie szedł kardynał Berbo, słusznego wzrastu, okazały mężczyzna, z uprzejmémi i życzliwémi znamionami twarzy.

Rafał przyjął z należném poważaniem dostojnych gości, ale w całém tém przyjęciu przeglądała jego nieudolność w ogładzie dworskiéj. Gdy Ojciec ś. wraz z swoimi towarzyszami wstąpił do pracowni malarza, z obrazu uleciała zasłona.

Wszyscy trzéj dostojni goście patrzyli w głębokiém milczeniu na obraz jak najspokojniéj, nie dając ani ruchem ani słowem najmniejszéj oznaki swego podziwienia. Czoło Bramante zaczęło się jednak powoli rozchmurzać, co było rzadkiém zjawiskiem, nawet przyjaźny uśmiech przeleciał zacięte usta budowniczego, co było niemałego znaczenia, gdyż je najczęściéj zwidzał tylko uśmiech pogardy. Na miłém zaś obliczu kardynała, odbiło się całe uniebienie, oddane w obrazie. Uroczystość, wzniosła spokojność, i religijne uczucie boskości, miały w jego słodkiém podziwie, wiernego tłumacza. Samo tylko oblicze Ojca ś. jakby skamieniałe, nie wyrażało żadnego uczucia; nawet jego przejrzyste, śklące się oko, nie odźwierciadlało tajni jego piersi. Chociaż południowego nieba słońce ogrzywało pierwiastki dni jego, chociaż wulkaniczne z przyrody wrzały w nim żywioły, umiał on przecież zaciąć w sobie wszelkie uczucie, i tak już od młodu przywłaszczył sobie tę wprawę, że czy to radosne uniesienie, czy najsroższa boleść ozwała się w piersi jego, zawsze twarz jego była spokojną i niemą. Po długiém wpatrzeniu się w tło myśli obrazu, zwrócił się ku malarzowi, i uścisnąwszy mu rękę, rzekł témi słowy: »Dzięki wam mistrzu za te chwile rozkoszy. Jużeśmy wiele dzieł waszéj ręki oglądali: Sobor kościelny, Szkołę ateńską, Parnas, Loże watykańskie, Złożenie Chrystusa w grobie, Bogarodzicę, Matkę ś. Syxta i wiele innych kościelnych obrazów. Nie są nam także obce płody sławniejszych mistrzów naszego wieku. Przecież jesteśmy wyznać zniewoleni: że *Uniebienie Chrystusa* uznajemy za koronę wszystkich poetycznych utworów, które kiedykolwiek życiem natchnął pęzel malarski.

Bramante rozwijał jenijalny talent znawcy: mówiąc o wzniosłości w układzie całego obrazu, o wykończeniu rysunku, o rozmaitości charakterów, o boskim wyrazie, jako ogólnym typie tego dzieła, o potędze i prawdzie w kolorycie. W téj artystowskiéj mowie okazał najgruntowniejsze, rodzime zdanie wielkiego znawcy.

»Jakże się będzie radował Julijusz Medicis i wasz stary nauczyciel, Pietro Perugino,« mówił Bembo.

»Radości téj, którę wszyscy miłośnicy sztuk pięknych niezawodnie podzielać będą, chcemy dodać nowego blasku,« zabrał znowu głos Ojciec Święty, »*Pan dał wam 10 monet,* któreście wy na piękny pożytek obrócili! Ten przedmiot waszego wyboru jak i ucieleśnienie pomysłu waszego, jest koroną umnictwa! Około chrześcijańskiego kościoła położyliście najświetniejsze zasługi; któż z śmiertelnych wgłębiwszy się w wielką myśl waszych obrazów, nie wziął boskiego uświęcenia w głąb serca i nie odszedł z błogiém zbudowaniem ducha! Wam dała Opatrzność klucz do serc wszystkich, wy umiécie wykradać niebios tajniki! Zaledwieście 37 lat przeżyli, a jużeście spełnili jak najświetniéj posłannictwo boskiego wieszcza, boście połubieńcem bóstwa! Chcemy więc, oddając wam przynależną nagrodę, wyszczególnić was nad wszystkich malarzy naszego wieku: Skoro przeminą święta wielkanocne, wezwą was dzwony całego Rzymu, a my jako książę kościoła, w pontyfikalnym ornacie, w obec całego rzymskiego dworu, w obliczu dostojnych Rzymian i szlachetnych Rzymianek przed tém arcydziełem, uwieńczymy skronie wasze wieńcem sławy umniczéj. A teraz bywajcie nam zdrowi. Już nas dzwony z wieży ś. Piotra wzywają na uroczystość wielkiéj Środy.«

Po oddaleniu się dostojnych gości wybiegła Fornarina z swojéj kryjówki. Usłyszawszy, jak wielkim zaszczytem sam Ojciec ś. chce uświetnić jéj kochanka, niewypowiedzianą radością przepełniło się jéj serce, strumień jasnych pereł spłynął po jéj rozpromienionéj twarzy, nie mogła ukoić wezbranego uczucia radości! Wyczérpywała wszystkie najpieściwsze oznaki, jakiémi tylko miłość i młodość wzruszenia swoje uznamienować zdoła — lecz jakiś zadumczywy wyraz w oczach Rafała i nadzwyczajna bladość w twarzy jego — powściągnęła jéj uniesienia.

Jednakże pomimo te niepokojące ślady, w piersi Rafała ożyła radość; dusza artysty płonęła zachwytem. — Zbliżała się rocznica urodzin jego. Aby w tym dniu oddać się cichéj wesołości, zamyślił artysta wraz z swoją kochanką wycieczkę w okolice Rzymu.

Rocznica urodzin jego przypadła w wielką środę. Rafał kończył w tym dniu trzydziesty siódmy rok życia. — Wróciwszy z wycieczki, zaledwie wszedł do swojéj komnaty, uczuł się nagle słabym; jakiś omdlenie owładnęło go do tego stopnia, że ująwszy się poręczy, upadł bez siły w krzesło. Przywołany lékarz oświadczył, że nie ma niebezpieczeństwa, i po przepisie zachowania się, dał polecenie, aby chorego położono w łóżko.

Rafał kazał przywołać swego ulubionego ucznia; był nim Julius Romanus. Gdy tenże stanął przed łożem swego mistrza, podał mu Rafał rękę, mówiąc te słowa: »Witam cię Julijuszu, mój uczniu i przyjacielu! Krótkim jest pobyt człowieka na tym padole! Nawet i malarze,« dodał z uśmiéchem, »umiérać muszą!«

Twarz Rafała była w prawdzie niezwyczajną okryta bladością, oczy jego tlały niepokojącym, gorączkowym ogniem; jednak Juliusz Romanus ani pomyślił o tém, aby niezbłagana śmierć zabrała tak rychło w pełnéj sile wieku męża, który swém ostatniém dziełem, taką potęgę twórczego rozwinął ducha! Chory artysta mówił z uczniem o swojém, na przypadek śmierci, ostatniém rozporządzeniu, w którém wedle możności pamiętał o swojéj siostrze, i jéj pięciorgu dzieciach, o starym nauczycielu Perugino, swoich uczniach polubieńcach, Julijuszu Romanus i Francesco Penni. Nagrodę zaś, którą miał od kardynała Juliusza Medicis otrzymać za swój obraz Uniebienia Chrystusa, przeznaczył dla swojéj Fornariny.

Gdy się choroba znacznie i nagle pogorszyła, wezwano najbieglejszych lékarzy. Między nimi byli: stary i doświadczony Bernadotti, lékarz Papieża Lavoletta, lékarz kardynała Bembo, Franzolini lékarz przyboczny Bramantego i inni.

Choroba Rafała była zagadką, wszyscy wprawdzie lékarze mówili o gorączce, ale nie umieli jéj nadać nazwiska. Gdy mu krew puszczono, podniósł się na łożu i mówił z gniewem: »Patrzcie tam! To mój wróg uczynił! Zepsuł moje dzieło! Ta głowa Chrystusa — nie wyszła z pod mego pędzla! któż śmié twierdzić, że to moje dzieło? Podajcie mi gąbkę, niech ją zmażę! Podajcie mi pędzel i paletę, ja wam pokażę, że jestem Rafałem!« To mówiąc robił ręką poruszenia, jak gdyby malował. »Tak; teraz dobrze,« mówił po chwili ucinanym głosem i padł bezwładnie w poduszkę. Poczém zawołał po imieniu swojego ucznia.

»Czegoż żądasz mistrzu?« zapytał Juliusz Romanus.

Kardynał Medicis twierdzi, że ta postać tu — spojrzyjno — ma podobieństwo do Fornariny. Ale się myli! Skądby się Fornarina wzięła w moim obrazie Uniebienia. Nie prawdaż Julijuszu, że ty żadnego niewidzisz do niéj podobieństwa?«

Gdy się na chwilę opamiętał, mówił do ucznia swego głosem słabym: »Ach, czemuż Fornarina nie jest przy moim boku! Ona bawi przy swojéj siostrze; ach, jabym wyzdrowiał jéj widokiem!... Mój zacny nauczyciel Perugino, gdzież on...? nié masz go w Rzymie!...... Mamże umiérać tak wcześnie!... Dopiéro 37 lat życia, a już pożegnać tę piękną ziemię!... Bóg miłosierdzia nie dopuści na mnie tak wczesnéj śmierci i dozwoli jeszcze tyle życia, abym wypracował dzieło, któreby przewyższyło mój obraz Uniebienia Zbawiciela. Posłuchaj, odsłonię ci ten obraz mojéj myśli, który stoi przed okiem mojéj duszy!«

Juliusz Romanus widząc gorączkowy rumieniec, którym spłonęło blade lice mistrza, zaklinał go uprzejmie, aby się uspokoił i szanował drogie zdrowie swoje. —

Cicha noc nadeszła, spaniały księżyc zléwał uroczém światłem topolowe ulice pobliskiego ogrodu, na który wychodziły okna pokoju chorego.

Rafał przywartémi na pół oczyma, szeptał niezrozumiałe, ucinane słowa; na jego twarzy malowała się jakaś smętna tęsknota, jak gdyby duch jego w zaświatowe unosił się krańce, łzy płynęły po jego bladéj jagodzie. W marzeniu zdało mu się, że się przechadzał po-nad brzegami morza i widział nad zwierciadłem modrych fal morskich, unoszącą się w błękicie eteru, niebiańską światłością upromienioną postać kobiecą. »To ona!« wołał podniesionym nieco głosem. »O, Boże! To jest twarz, którę ja tak bardzo lubię! Ty więc nie jesteś przywidzeniem, mrzonką mych myśli, jesteś mieszkanką ziemi? Nieraz widziałem cię w moich snach wieszczych! O, niech utonę w twojém anielskiém spojrzeniu, niech się w nie rozmarzę poślubion na wieki z twoim obrazem!.... Pozwól dotknąć się twoich ust słodkich... Przebóg! Gniewa się na mnie! Znika, wyrywa się z objęć moich, ulatuje, rozpływa się w powietrzu!.... Piękne morze, jakżeś teraz samotne i puste! Z podwodnéj głębi dolatuje mię śpiew błogi. Syreny śpiewają: »*Fornarino! Fornarino!...*« Zniknęła bogini!... Przyjmcież i mnie fale morskie w łono wasze, rzucam się w bez-

denną topiel waszę, gdzie wodne boginie z złocistych dzbanków leją strumienie słodkiego zapomnienia!« —

Odetchnąwszy na chwilę, zawołał chrypliwym głosem: »Julijuszu, pragnienie mię trawi! Napiłem się słonéj wody morskiéj!«

Romanus podał mu puhar z mlékiem migdałowém.

Rafał odsunął podany napój ze wstrętem i błagał swego ucznia: »O, podaj mi czystéj studziennéj wody. Usycham z pragnienia. Dziesięć kropli wody, a odzyskam dawne siły! Spiesz się, abym zdołał mówić i skréślić tobie obraz, który w piersi noszę, i który przyćmi blask *Uniebienia.* O, Boże!... Nie daj mi umrzéć, dopokąd nie przeniosę go na płótno!»

Lékarz zezwolił dać mu studziennéj wody, mówiąc, że mu już nie zaszkodzi!

Julijusz przyłożył puhar do ust Rafała, ale te już się na wieki zamknęły! Już się napił z puharu śmierci! —

Tysiące lamp płonęło w olbrzymiéj kopule kościoła ś. Piotra. Lotem błyskawicy rozeszła się ciężko-smutna wieść: *Rafał już nie żyje!..* Światła gasnęły, a po olbrzymiéj nawie kościoła jak po ciemnem olbrzymim grobie, rozległa się jak chór tamtego świata duchów, pieśń zimnym dreszczem szyjąca, pieśń cudnie straszliwéj zgrozy, pieśń *Miserere mei!* Skoro ucichły te grobowe tony, płacz cichy obchodził dokoła oniemiałe mury świątyni.

Niezliczonémi tłumami płynął lud rzymski przez ulice aż do sali żałoby, obwieszonéj całunem: gdzie na przepysznéj wystawie tysiącem świateł otoczonéj, król wszystkich malarzy spoczywał! Ciemnemi lokami upierścieniona jego głowa z wieńcem na skroni, opiérała się na białém atłasowém wezgłowiu, ręką rzymskiéj dostojnéj pani, bogato wyszytém. Na jego czole wił się mistycznéj poświaty odblask; twarzy jego mina była niebiańsko-uroczysta, śmiertelna bladość ośnieżona świéżością lilii — oczy przymknięte, zadumały wiecznością! Po prawéj stronie leżała aksamitna poduszka, z napisem, złotym haftem wyrobionym: *Rafał.* Na niéj leżała jego paleta i pęzel, którym wypieszczał ideał głowy Chrystusa. U nóg jego stał obraz *Uniebienia, tą pieśń ostatnia łabędzia, farbami wyśpiéwana.* Śród rozléwu tonów, którémi wszystkie kościoły w Rzymie jęczały, w obecności Leona, książęcia wiary chrześcijańskiéj, kardynałów, malarzy Michała Angelo, Titiana i Correggio, którzy z dalekich stron na ten smutny obrzęd, na tę żałobną uroczystość zbiegli, — śród wrzawy jęków wszystkich dzwonów Rzymu, śród uroczystego występu głowy kościoła, kardynałów, śród licznego grona najznakomitszych Rzymianów i Rzymianek — oddano ciało grobowi w Panteonie.

Czemuż nie idzie za zwłokami ta, która go tak namiętnie, z całym zapałem miłości południowego nieba kochała? Czemuż nie słychać płaczu syreny Fornariny?... Wierzcie temu, że i syreny mają uśmiéch szaleństwa. Miłym przebytkiem syreny — są wodne głębiny. Niech nam rzéka Tyber odpowié na to pytanie!

Zwidziny grobów w dzień zaduszny. *)

PRZEZ

SAPHIRA.

O, jakże nierozsądnym jest człowiek! Nie dość to dla niego, że już życie swoje w rozmaite, marne ubiéra błyskotki, w różnowzore z kwiatów przystraja uploty, które równie jak on i uciechy jego z jutrem zmiérają, ale na domiar próżności swojéj uśliczna on jeszcze śmierć, grób, nieskończenność i z jéj przepaści zgrozę wiejącą, jakby jaką zapustną uciechę lub łatkę przy jasełkach! Takimto jest człowiek! Skwapnie on zwija nić życia i wiesza na niéj zarówno korony i łachmany żebrackie, krepy żałobne i wstęgi weselne, całuny i zasłony ślubne, pochodnie weselne i świeczniki grobowe, birety doktorskie i czapeczki z dzwónkami, serca zranione i usta rozkoszne, oczy łzawe i lica radością promienne, z rozpaczy załamane ręce i w skocznych tanach unoszące się pary! Człowiek zwija skwapliwie nić życia, aż nareszcie staje przed nami śmierć, owinięta przędzą żywota naszego, podaje nam kościstą rękę, prowadzi nas za ciemną zasłonę, przedzielającą czas od wieczności, za tę zasłonę, która nie prędzéj uleci, aż dopokąd piérw nie przebrzmi uwertura ziemskiego życia, i nie rozpocznie się wzniosłą introdukcyją puzanów, uroczysta opera innego świata!

Takim jest człowiek, i już się nie poprawi! Nadaremnie przemawia do niego życie, ten wesoły gęślarz, który nam słodkiémi tony liry swojéj opiéwa dzieje pełne nauki, który nam przenośniami z kwiecia uwitémi przemawia do serca, który dla duszy naszéj, maluje obrazy pełne barw i światła, pełne słońca i życia! Również śmierć, ten święty, groźny kaznodzieja, każe nam nadaremnie z wysokiej kazalnicy wieczności; nadaremnie nachyla ponure, upominające oblicze ku nadsłuchującemu człowieczeństwu, nadaremnie bierze *text* do kazania swego z świętego pisma gwiazd odwiecznych,

---

*) Zwyczaj w Niemczech.

nadaremnie przytacza w nabożeństwo swoje miryjady wygasłych pokoleń ludzkich!

I śmierć każe nam nadaremnie, i nie uczymy się z życia, jak mamy umierać, i śmierć nas nie uczy, jak nam żyć należy!

O moi przyjaciele! Idziecie na groby i w rzewnéj pobożności rzucacie kwiaty na pozostałe szczątki umarłych. Zielonémi wieńcami ozdabiacie kamienie, które wam kryją drogie pamiątki. Zapalacie tam barwne lampy, gdzie czarna ciemność mieszka! Przy zimnych żalnicach znikomych prochów, ronicie łzy rzewne. Ale, azaliż nasz byt doczesny, całe życie naszе nie jest dniem zadusznym, nie jest życiem cmętarza? Jestże pierś czyja, któraby nie była grobowcem? Jestże serce czyje, któreby w sobie nie kryło trumny? Jestże taka istota na świecie, któraby w swéj duszy nie zamknęła już jakiéj świętéj miłości, jakiéj zawiedzionéj nadziei, jakiego drogiego życzenia lub jakiéj wielkiéj radości?

Czemuż raczéj nie skrapiamy łzą pociechy grobu w sercu naszego brata? Czemuż nie tulimy się z spółczuciem do piersi bliźniego i nie szczepimy tam na trumnie jego uczuć, kwiateczka miłości? Czemuż nie pielgrzymujemy do łona naszego spółbrata, gdzie wszystkie uciechy tego życia snem grobowym usnęły? Czemuż nie udarujemy go przyjaznem słowem, życzliwém westchnieniem!? —

Ze zmrokiem wyszedłem i ja na cmętarz, sądziłem bowiem, że umarli wstrzęsą z gniewu piszczelami swémi, iż jakby końskiemi kopyty deptano ich milczące groby; zdawało mi się, że ich strupieszałe kości skarżą się z bolu na włóczącą się po ich pościeli hordę, która przechadzając się pomiędzy czarnémi krzyżami i ponurémi mogiłami, odgrywa i miną i ruchem sceny światowe!

Czekałem, aż dzień zabrał z sobą ostatki światła, a blady pomrok obstągnął niebiosa jak dymami kadzidła. Usiadłem na grobowym kamieniu, pusto było w około mnie, coraz bardziéj pusto, a we mnie coraz bardziéj pełno i treściwo. Ziemia leżała przedemną jak czarna do modlitwy książka, po brzegach tylko w złotogłów ostatnich blasków słońca oprawna, a wschodząca gwiazda wieczorna na strzępie widnokręgu, zdawała mi się być jasném okiem kochającéj, nad uśpioną ziemią czuwającéj córki, która wpatruje się z lubością w jéj blade oblicze. Gwiazdy wytonęły z błękitu, osiadły na niebie i objęły bladą ziemię w różne kolory świecącémi kulami, roniac jak śnieg białą poświatę na grobowisko, gdzie w myślach zatopiony siedziałem. Białe grobowce przeziérały jak szkielety przez zielone uploty liścia, a wiatr wieczorny migał mdłém światłem lamp kolorowych tak chwiejnie i drząco, jak się miga ostatnia skra życia konającego!.

Jakaś rzewna żałość a razem i pokój, weszły do mojéj duszy. Zdawało mi się, że się groby otwierają, i że widzę wszystkich umarłych w głębokich ich dołach spokojnie, uroczyście leżących; w skorupach, ich zgasłych oczu, tlał ponik świecący promieniem wieczności zagrobowéj; około ust obnażonych z ciała, igrał uśmiech nie z tego świata.. Wszystkie zaś na grobach porozwieszane kwiaty i wieńce powiędły i poniszczały; migające się światła pogasły, same tylko wieńce cnoty ich życia opasywały umarłych, same tylko szlachetne czyny i prawe zasługi wiły im korony nagrody, a wszystkie bogobojne dni ich żywota, przeciągały kolejnym pasmem przez zmrokę ich śmierci, jak owe na wiosnę złociste obłoki pogodnego wieczora!

W téj chwili uleciała moja dusza i serce moje ponad wszystkie sceny ziemskie, w dół opadły podemną zamierzchy doczesnego bytu, a niebo rozkwitające się jasnością, brało mnie coraz bliżéj i bliżéj ku sobie; ujrzałem przez rozpadłe szczeliny błękitu świat przyszły jak różowe światło zarania przez zaciemnione obszary płynący! —

Gdym przyszedł do siebie, już ziemia czarną wdziała barwę nocy, chmury sunęły po niebie jak czarne duchy, a pobrawszy się w dziwotwornych postaciach w olbrzmie ramiona do dzikiego tanu, walcując okropnie po ogromnéj sali niebios, w dół się ztaczały w jéj niedojrzanych kończynach.

Ach! pomyślałem sobie, jeszcze tego upiora: czas, jeden krok, jeszcze téj straszliwéj zagadki rok jeden — a kto wié, *czyje* serce, które teraz z radości głośno bije, lub które teraz z dumy wysoko uderza, w tym tu przebytku wiecznym snem zaśnie; kto wié, czyje oko, które teraz promieniem miłości ciska, lub łzą boleści zacieka, na skróś przepalone, na tém powszechném pobojowisku spocznie; kto wié, czyja pierś, która teraz śmiałe zamysły wylęga i przekształceniem się świata nad miarę wzdyma, na tém chłodném pustkowiu, wieczném nicestwem zmartwieje i głęboko wklęsnie! Może ja sam już wtedy w czarną łodź wstąpiwszy, podziemną krainą do lepszego życia płynąć będę — a kto wié, azali w dzień zaduszny, przyjaźni ręka na moim grobie gałązkę pamiątki położy!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 52. i obejmuje: 1) Czém można oprócz oborniku żyzność gruntów powiększyć? (Dokończenie.) 2) O kwaszeniu naci kartoflanéj, podług Aichholtzera. 3) O hodowli owiec krajowych i handlu niemi, przez K. J. Turowskiego. 4) Kwaskowato słodki zaciér jako środek zastępujący wywar (brahę). 5) Trutka na wytępienie zwierząt drapieżnych za pomocą wroniego oka, przez pana A. Budzińskiego (z Biblioteki warszawskiéj). 6) Środek przeciw wodowstrętowi (wściekliźnie). 7) Środek przeciw zapaleniu śledziony u zwierząt. 8) Gorczycznik jako kapusta. 9) Co robić, aby chleb nie pleśniał?

Nowy kalendarz powszechny na r. 1844 wydany w Warszawie, zawiera pomiędzy innemi obszerniejszą rozprawę o Koperniku, którę profesor Krzyżanowski, korzystając ze sposobności trzystoletniéj jubileuszowéj rocznicy pięknem piórem napisał. Dawniéj już Krzyżanowskiego staraniom winniśmy wyłącznie wybicie w r. 1820 w Paryżu medalu Kopernikowi jako Polakowi, za jegoto także staraniem Justyn Brenau przełożył rozprawę Sniadeckiego o Koperniku na język angielski.

Bożki chińskie. Pewien Anglik pisze do dziennika *Standard* z Hae, stolicy Czuzanu te oto słowa: Jak odstręczającą jest ta ziemia swoją nieczystością, jak szkodliwą swemi zaraźliwemi wyziéwy, tak jest piękną przepysznémi świątyniami, których szczególniejszą ozdobą są olbrzymie bożyszcza chińskie, już snycerską robotą z drzewa sztucznie wyrabiane, już misternie odlewane z gypsu, już strojne ozdóbkami i wyzłacaniem. W głównym kościele jest »królowa nieba« w jedwabiach, w bogate hafty, piérwszym przedmiotem czci powszechnéj; przedstawia się jako występująca z morza, prawę nogę opiera na potworze morskim, a na lewem ramieniu trzyma dziecię. Ze wszech stron otaczają ją półbożki; na dole u ołtarza są szczérolite pochodnie, a na przodzie palące się piramidy.

Nędza i zbrodnie w Londynie. Leon Faucher umieszcza w *Revue des deux Mondes* wiadomość, która zgrozą przenika. Parafia Saint Giles, znana w rocznikach zbrodni, jest zamieszkana przez łotrów, złodziei i nierządnice. Jakby pod zasłoną jakiéjś nietykalności dzieją się tam najsprośniejsze zbrodnie, gdyż i władza policyjna z obawy przed tą bandą rabusiów, nie zapędza się w te kryjówki zbrodniarzy, które małą Irlandyją przezwano. Nędza jest tam główną przyczyną wszystkich zbrodni, i nigdzie nie okazała się ona w szkaradniejszéj postaci jak ostatniémi laty w Londynie. Domy ubogich mieszczą tam 30000 ludzi, samych prawie starców i dzieci, około 130000 pobiera wsparcie po domach; w téj dzielnicy miasta do hrabstwa Middle-Sex leżącej, żyło w r. 1840, 49814 osób publiczną dobroczynnością, w r. 1841 podniosła się ta liczba do 73815 przez napływ ubogich ze wsi. Nędza i rozpusta idą tam obok siebie, i niemasz miasta, gdzieby tak wcześnie jak w Londynie dojrzewano do zbrodni. Chłopiec 10- lub 12letni jest tam już doskonałym złodziejem i utrzymuje sobie miłośnicę. Z każdym dniem powiększa się zepsucie dzieci; w roku 1837 liczono w Londynie młodych zbrodniarzy na 11781, a w roku 1840 na 14031.

Uczeni przy pługu. W Ameryce znajdują niemieccy uczeni i pisarze, korzystną pracę i zajęcie. Pewien Niemiec pisze z-nad Ohio: Wielu naszych, którzy dawniej tylko piórem pracowali, robią dziś z wielką zręcznością siekierą lub kosą, chodzą przy pługu lub przeprawiają 6 wołmi zaprzężne wozy przez niezmierne obszary, kamieniste góry, bagniska i rzeki, na których brzegach wysokich jak domy, żaden jeszcze most nie postał. Widziałem niemieckich prawników, lekarzy i teologów, którzy się teraz wykierowali na biegłych *Farmer* (ekonomów). W Illinois jest cała kolonija nazwana koloniją łacińską, osiedlona przez samych literackich ekonomów, którzy teraz uprawiają rolę własnemi rękoma, podczas gdy pierwiéj oddając się literaturze, pracowali piórem.

Nowa droga z Anglii do Egyptu. Angielska zatoka Folkstone leży przy kolei żelaznéj, idącéj z Londynu do Doweru. Żegluga parowémi okrętami jest tam w ten sposób urządzona, że się przestrzeń między Angliją a Ostendą w 9 godzinach przebywa. Podróżni więc, którzy się z rana koleją żelazną z Londynu do Folkstonne udają, mogą tegoż wieczora być w Ostendzie. Zdaje się, że Anglija ominie na przyszłość Francyję jako dotąd jedyną drogę do Egyptu, a obierze krotszą, azatém szybszą na Belgiję, Niemcy i Austryjacką Monarchiję. Czas jazdy wskazuje następująca tablica: Z Londynu do Ostendy 13 godzin, do Kolonii 10, do Trier 10, do Karlsruhe 16, do Stutgard 6, do Kempten 12, do Insbruku 12, do Triestu 31, a więc z Londynu do Triestu razem 110 godzin, a zliczywszy nawet 5 godzin, które się po różnych stacyjach traci, można przecież tę drogę odbyć w 4 dniach i 19 godzinach. Na okrętach parowych przebywa się w 6 dniach drogę z Triestu do Alexandryi, a więc z Londynu do Egyptu można się dostać w 9 dniach i 19 godzinach.

Niewolnik Kamoensa. Taki ma tytuł opera komiczna z textem Saint-Georges a muzyką p. Tlottow, dawana często w Paryżu. Portugalski poeta! musi teraz występywać jako bohater opery. Również i Donizetti przydzielił mu rolę w operze swojéj: *Don Sebastyjan.* Teraz płynie raz jeszcze z swoją Luizyjadą przez wody, ale — partyturowe! Biédny poeto, ciebie i po śmierci los prześladuje!

Lunatyczka. W Dreznie zginęło rodzicom 5letnie dziecię; drugie, które się z niém bawiło, wyznało, że wpadło w wodę, ale nie mogło oznaczyć miejsca. Rodzice udali się do lunatyczki Amelii Klinger, która przez kilka tygodni leżała we śnie magnetycznym. Na pytanie rodziców: gdzie jest ich dziecię, odpowiada jasnowidząca: że utonęło w stawie, i leży przy łotokach między śluzą; jakoż w istocie tam je znaleziono!

Młyny na kolejach żelaznych. Angielskie pisma zwracały już wielokrotnie uwagę na to, aby przy lokomotywach budować młyny i te w ruch wprawiać za pomocą siły parnej, lokomotywę popędzającéj. Myśl ta rzucona przez dziennikarzy, została w Ameryce jak pisze *Georgian Herald*, zastosowaną przez tamtejszych inżynierów; stoi bowiem w tym dzienniku, że tam na kolei żelaznéj użyto siły pary — do robienia masła. Państwo Nowy-York wysyła do Charlestown i Savannah rocznie masła za 200,000 złr. m. k. Robienie masła uproszczono teraz w ten sposób, że cały jeden wagon zamieniono w wielką maślnicę, któréj tłokowi siła pary ruchu nadaje, tak, że gdy pociąg powozów stanie na wyznaczonem miejscu, już i masło gotowe— Kolej żelazna z Nowego Yorku do Charlestown jest blisko na ukończeniu, będzie miała 400 mil angielskich długości, któręto przestrzeń w 18 dniach przebyć można.

Zapał Włochów do sztuki. Od stóp Alpów aż do Reggio (mówi Paweł de Musset) przesada jest rzeczą zwyczajną. Widzowie na parterze są tak drażliwi i hojni w okrzyk i oklaski, że miałbyś ich za wrzaskliwą hołotę. Gdy spiewaczka Tadolini po raz ostatni w zimową porę występowała, przywołano ją po operze tylko — 12 razy, i 12 razy ukazała się! Zaczęto wołać po raz trzynasty. Policyja mniemając, że już dosyć tego szału, zakazała spiewaczce, aby się więcej nie jawiła. Zakaz ten był hasłem do zupełnego szaleństwa publiczności, bo raz jeszcze koniecznie chciano ujrzeć spiewaczkę, chciano raczej umrzeć, dać się zaprowadzić do więzienia, niż ponieść taką stratę! Dopiero gdy około 20 najkrzykliwszych uwięziono, rozeszła się reszta z rozpaczą w duszy; poczém głosili dowcipnisie, że odtąd nakazano Tadolini od rządo: aby nie tak dobrze spiewała, bo zapał, jaki wzbudza, zagraża społecznemu porządkowi. — W Bologne przy wystawieniu zapomnianej już teraz operetki, przywołano pewnego *maestro* nie więcej jak tylko 20 razy i 26 razy okryto go wieńcami. Gdy Taglioni i Cerito w teatrze Scala w Medyjolanie na przemian tańczyły, miano to za oznakę trwałości, że jego budowa w przeciągu trzech miesięcy nie zawaliła się od oklasków głów zagorzałych. A jednakże mieszkańcy Lombardyi nie są jeszcze pierwszego rzędu zapaleńcami. W Neapolu, w szale uniesienia, w tym przypadku teatr by zburzono! W Florencyi podzieliła się publiczność na dwa stronnictwa o małą i wielką tancerkę, a każde chciało swójéj polubienicy okazać względy swego uniesienia. Od bukietów przyszło do wieńców, od wieńców zaś do snopów — kwiatowych, tak dalece, że spiewaczki były w niebezpieczeństwie życia. Słychać już było, że naczelnik jednej koteryi powziął był zamysł, zajechać ze służbą na scenę czworosprzężną karetą i odwieść w tryjumfie boginię, ale czas adwentowy nie dał wykonać tego *crescendo.* — Chociaż u nas nie tak gorąco jak we Włoszech, a przecież na podobny szał się zanosi!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.